



Cezary Czyżewski

Królewski Pakt

opowiadanie

Cezary Czyżewski

Królewski Pakt

opowiadanie

© Cezary Czyżewski, 2016

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

SPIS TREŚCI

[Królewski Pakt](#)

KRÓLEWSKI PAKT

Zimny, listopadowy wichur pędził przez noc, zacinając od czasu do czasu deszczem. Drzewa po drugiej stronie Wisły szumiały w ciemności. Kto mógł, chował się w domach i w chatach. Jedynie strażnicy miejscy, opatuleni w grube opończe, przeklinając służbę, przechadzali się po murach. Z ulgą zatrzymywali się pod ścianami baszt lub wież, by choć na chwilę odpocząć od zimna i napierającego zewsząd wiatru.

Po wzburzonych falach rzeki płynęła łódź. O burty raz za razem chlupotała woda, od czasu do czasu niebezpiecznie przechylając kadłub, ale sternik za każdym razem wprawnym ruchem wiosła przywracał go do pionu. Dwóch pasażerów siedziało po środku, próbując przebić wzrokiem niemal zupełny mrok.

Minęli podgrodzie na Żabim Kruku, zakręt Wisły wyniósł ich tuż pod wzgórze wawelskie. Na wieży zamku płonął ogień, tańcząc w rytm porywów wiatru. Sternik w milczeniu skierował łódź w stronę brzegu. Kilka chwil później dno zaszurało o piach i dziób zatrzymał się w gęstych zaroślach. Jeden z pasażerów bez słowa wręczył przewoźnikowi niewielki mieszek z zapłatą, po czym wraz z towarzyszem zszedł na ląd. Łódź wróciła na rzekę, by po chwili zniknąć w mroku.

Zakapturzone postaci ruszyły przez podmokły brzeg. Wyszły na twardą ścieżkę biegnącą dookoła wzgórza. Jej odnoga wiodła skosem pod górę, ku małej furtce w południowej wieży. Śliskie, wapienne kamyki usuwały się spod stóp, czyniąc marsz jeszcze trudniejszym.

Wreszcie stanęli pod murem warowni. Wyższa z postaci zapukała w wąskie drzwi. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Po drugiej stronie dało się słyszeć szurnięcie i mała klapka na wysokości wzroku otworzyła się z trzaskiem.

— Kto? — odezwał się lekko zachrypnięty głos.

— Królewski orzeł wrócił — odrzekł cicho mężczyzna w kapturze. — Gościa prowadzę.

Po chwili drzwi uchyliły się. Obie postacie weszły do środka, a strażnik czym prędzej zamknął i zaryglował wejście. Następnie przesunął dwie wielkie beczki, barykadując drzwi.

— Co za noc, jakby się kto powiesił... — splunął, spoglądając uważnie na gości. Jego rozmówca ściągnął nieco opończę, ukazując ogorzałą od wiatru i słońca twarz mężczyzny w sile wieku. Wypłowiałe wąsiska i takąż broda mokre były od deszczu. Drugi przybysz stał bez ruchu, obserwując spod kaptura otoczenie.

— Prowadź na zamek — wąsacz skinął strażnikowi, pokazując dłoń ze srebrnym sygnetem z piastowskim orłem. — Do księcia.

Wszyscy trzej wyszli z wieży na obszerne przedzamcze. Okna katedry, mimo późnej pory, świeciły jasno kolorowymi witrażami, ze środka słyszeć było śpiewy. Prowadzący ich zbrojny zdjął pochodnię z zaczepu na murze. Mężczyźni w milczeniu pokonali przestrzeń dzielącą ich od bramy zamku wawelskiego. Dwaj halabardnicy, stojący pod

wrotami, na widok nadchodzącej trójki pochylili drzewce broni. Zanim jednak zdążyli okrzyknąć przybyszy, prowadzący strażnik uniósł ramię.

— To ja, dajcie spokój. Posłańca koronnego prowadzę, ledwo co przybył południową furta. Pilne wieści dla króla — to mówiąc skinął swoim towarzyszom i zawrócił w stronę wieży.

Władysław Łokietek siedział krzywo na ciężkim, zdobionym krześle. Nog w grubych, sięgających kolan butach wyprostował pod stołem, na którym leżały, rozrzucone bezładnie pergaminy i papiery. Jeden z nich trzymał w dłoni, czytając w skupieniu.

— Więc Siemowit nie wesprze Waclawa i tłumaczy to potrzebą pilnowania na północy własnej granicy z Krzyżakami? — spojrzał spode łba na stojącego po drugiej stronie stołu mężczyznę ze srebrnym łańcuchem kanclerskim na piersi. Ten skinął z kwaśną miną, dobrze wiedząc, co oznacza ten wzrok. Znał swojego władcę od wielu lat.

— Czy ten głupiec nie rozumie, że dla jego własnego dobra? — grom uderzył chwilę później. Władysław cisnął pergaminem przez całą szerokość stołu. Kilka dokumentów spadło na drewnianą podłogę. — Im silniejsze będzie księstwo płockie, tym silniejszy będzie on, bo to Waclaw ponosi główny ciężar pilnowania północnej rubieży! Czy on się z kozą na rozum pomieniał, czy mu ambicja wyżarła resztki rozsądku?

Kanclerz czym prędzej sięgnął po leżące na podłodze dokumenty i podniósł na stół. Spokojnym tonem zasugerował:

— Może próbuje coś jeszcze ugrać?

— Mazowsze odmówiło mi hołdu. Zgoda. Przeboleję to. Ale on przecie z Piastów, tak jak ja! Mamy w Krzyżakach wspólnego wroga, jego ziemie też najeżdżają! Czego jeszcze chce? Może mam mu własnych rycerzy podesać? Razem ze złotem na spyżę? — król poderwał się i gniewnym krokiem podszedł do paleniska pod wielkim, okopconym okapem. Przez chwilę stał przy ogniu, grzejąc dłonie.

— Późno już, mój panie. Dzisiaj i tak mu nie odpowiemy, lepiej pomyśleć nad tym ze świeżą głową, rano — kanclerz Franciszek zaczął powoli porządkować dokumenty, skinął na młodego chłopaka w habicie, który natychmiast podszedł, by pomóc dostojnikowi.

— Jak tak dalej pójdzie, Waclaw może próbować wejść w układ z królem czeskim, albo co gorsza dogada się z Krzyżakami... — Władysław wciąż jeszcze myślami błędził gdzieś po Mazowszu. Napad złości, jak szybko przyszedł, tak szybko go opuścił. — Masz rację, po nocy nic mądrego nie uradzimy. Jesteś wolny. Ja zajrzę jeszcze do Kazka.

Skinął kanclerzowi i ruszył w stronę komnat. Franciszek cichym głosem wydał swojemu słudze kilka poleceń i również opuścił salę, niosąc w ramionach stertę dokumentów. Chłopak pospiesznie ruszył za nim.

Władysław cicho wszedł do komnaty syna. Przy łożu czuwał nadworny medykarz i jeden z katedralnych diakonów. Królowa Jadwiga siedziała na skraju posłania, trzymając

Kazimierza za wychudłą dłoń. Młody następca tronu leżał z zamkniętymi oczami i tylko powoli unosząca się pierś była znakiem, że wciąż żyje.

Władca stanął koło małżonki, która dopiero teraz spostrzegła jego obecność. Popatrzyli na siebie. Władysław pogłaskał czule żonę po policzku i rzekł cicho:

— Trzeba mieć nadzieję. I modlić się...

Jadwiga skinęła głową i znów popatrzyła na syna. Siedemnastoletni Kazimierz zachorował kilka miesięcy temu i nikt nie umiał znaleźć przyczyny ani lekarstwa. Żaden z wezwanych medyków, czy to z ziem polskich czy węgierskich, nie mógł poradzić sobie ze słabością chłopaka. A ten z każdym tygodniem tracił siły i wreszcie przestał nawet wstawać z łoża. Nie pomogło puszczanie krwi ani okadzanie ziołami. W katedrze dzień i noc modlono się za zdrowie Kazimierza, nawet sam arcybiskup gnieźnieński Janisław przysłał relikwię z szaty świętego Wojciecha, by ulżyła choremu. Bez skutku. Sprowadzane ukradkiem czarownice zielachy bezradnie rozkładały ręce, mówiąc że nie wiedzą jak wygonić zło z ciała następcy tronu. Życie uciekało z Kazimierza i wydawało się, że nic ani nikt nie jest w stanie mu pomóc.

Król Władysław wyszedł z komnaty syna. Dostrzegł strażnika, idącego korytarzem. Ten, gdy tylko zbliżył się do władcy, skłonił się i rzekł:

— Rycerz Zych z Krzywina przybył właśnie i prosi o pilne widzenie.

— Zaprowadź go do sali rycerskiej, będę na niego czekał.

Wartownik skinął głową i szybkim krokiem oddalił się. Król zawrócił w stronę komnaty, gdzie niedawno rozmawiał z kanclerzem. Powrót Zycha oznaczał wieści. Władysław w myślach prosił Boga, by były pomyślne.

Wkroczył do sali, gdzie w palenisku pełgał jeszcze niewielki płomyk. Dorzucił parę drewna i zapalił pochodnię, którą służba zdążyła już zgasić. Wkrótce w progu komnaty stanął rosły, krótko, na modłę krzyżowców obcięty blondyn w towarzystwie zakapturzonej, zgarbionej postaci. Władysław postąpił krok, rozkładając szeroko ramiona.

— Zych Awdaniec, druh mój serdeczny!

— Mój królu, rad cię widzieć! — przybysz skłonił się lekko, okazując szacunek władcy.

Rycerskim zwyczajem uścisnęli sobie przedramiona, a potem padli w objęcia. I chociaż król był niższy od Zycha o głowę, uścisk miał silny niczym niedźwiedź.

— Wasza Wysokość, oto Aban z Damaszku, którego Bóg pozwolił mi spotkać na ziemiach Siedmiogrodu — rycerz odsunął się nieco i dłonią wskazał na stojącą za jego plecami postać. Mężczyzna, słysząc swoje imię, zdjął kaptur, odsłaniając ciemną, pooraną zmarszczkami twarz. Spod dokładnie zawiązanego, szarego turbanu, bystre oczy baczenie obserwowały władcę, a w kąciку ust zagościł delikatny uśmiezek, który mógł być zarówno oznaką przyjaźni, jak i drwiny.

— Na miły Bóg! — mruknął zaskoczony Władysław. — Zychu drogi, czy...

— Aban znany jest od Aleksandrii do samego Bagdadu, siedziby kalifa — rycerz zaczął opowiadać. — Usłyszałem o nim w Konstantynopolu i szukałem bez skutku w całej

Ziemi Świętej. I gdy straciłem nadzieję, bo pomyślałem, że jest tylko legendą, spotkałem go na ziemiach Wołochów. Zaiste palec boży musiał to być. Jeśli ktokolwiek może pomóc młodemu księciu, to jeno on.

— Co on robił w Siedmiogrodzie? — król spojrzał na Awdańca. — I jak tyś się z nim dogadał? Przecie to poganin, naszej mowy nie zna...

— Co robił, tego mi nie chciał powiedzieć — Zych wzruszył ramionami. — A że mędrcom jest to grekę zna i trochę niemieckiej mowy. Tak się z nim dogadałem.

W tym momencie zwrócił się do Araba, wskazując na władcę i przedstawiając go.

— Oto senior rodu Piastów, pan ziem polskich, król Władysław Łokietek.

Aban skłonił się nisko, dotykając dłonią czoła, ust i piersi, i po raz pierwszy odezwał się. Mówił powoli, kalecząc niemiecki, ale władca mógł bez trudu zrozumieć jego słowa.

— Pozdrowienie tobie, *hakim*. Niech *Allah* da ci zdrowie, tobie i twej rodzinie. Jestem Aban ibn Aksan al Bagdadi, do usług tobie.

— *Meister* Aban, bądź gościem moim pod tym dachem — Władysław przywitał mędrca, jak wymagał obyczaj, po czym znów spojrzał na rycerza.

— Jeśli taka twoja wola, możemy od razu iść do młodego Kazimierza — odezwał się Zych.

— Najpierw odeślę żonę i sługi — skinął głową król. — Im mniej oczu zobaczy saraceńskiego medyka, tym lepiej...

Królowa opuściła już komnatę syna. Podobnie medyk i diakon udali się na spoczynek. Jedynie pochrapujący sługa, który miał czuwać całą noc, zerwał się z zydła na odgłos otwieranych drzwi, ale jego zaspana twarz mówiła sama za siebie. Król jednak nie miał ochoty karcić biedaka, tylko gestem kazał wynieść się z izby. Sługa zniknął natychmiast, kłaniając się jeszcze władcy. Ojciec i syn zostali sami.

Władysław dawno już przekroczył pięćdziesiątą wiosnę. Całe życie walczył o jeden cel, zjednoczenie ziem polskich i zapewnienie ich trwałości poprzez wychowanie następcy. A teraz jego jedyny syn, który dożył dorosłości, leżał powalony nieznaną chorobą, a wraz z nim sypały się w gruzy plany i marzenia ojca. Piastowie we wszystkich dzielnicach knuli i intrygowali przeciwko sobie, chcąc zdobyć jak najlepszą pozycję. Czesi ponad jego głową dogadywali się z Zakonem, cesarz niemiecki wciąż nie zajmował jasnego stanowiska w sporze z Krzyżakami. Na wschodzie chwiejne traktaty z Rusią i Litwą mogły być zerwane w każdej chwili i tylko król Węgier zdawał się być przyjazny względem Krakowa, ale Władysław nie miał wątpliwości, że sam chętnie zasiadłby na stolcu wawelskim, gdyby miał taką okazję. Młody Kazimierz był jedyną gwarancją trwania zjednoczonego królestwa...

Władca podszedł do wąskiego, podwójnego okna i odsłonił okiennice. Nocne, wilgotne powietrze wpłynęło do komnaty. Wyjrzał na zewnątrz, w stronę osady na Skałce, z niewielkim kościołem na pagórku. Poprzez mrok i deszcz, który zaczął padać, nie był w stanie nic zobaczyć. Ciemność nocy spowiła świat

— Mój królu... — z zamyślenia wyrwał Łokietka głos Zycha. Władca odwrócił się i ujrzał w progu swego zaufanego rycerza wraz z arabskim medykiem.

— Niech zaczyna — skinął przyzwalająco.

Aban zdjął szarą opończę i rzucił ją na zydel. Podciągnął rękawy haftowanego złotą nicią ciemnozielonego kubraka i zaczął rozkładać na stole zawartość torby, którą miał na ramieniu. Zioła, flakoniki, szkatułka gęsto zdobiona orientalnymi ornamentami, kilka kryształów górskich, pękata butelka z wijącymi się wewnątrz pijawkami, garść lnianych bandaży i mała miedziana lampka oliwna, wszystko to medyk wyjmował z torby, która zadawała się nie mieć dna. Na sam koniec dołożył jeszcze zwój pergaminów przewiązany grubym, czerwonym sznurkiem z kilkoma pieczęciami.

Zapalił kilka dodatkowych świec, porozstawiał je wokół łoża i podszedł do leżącego bez ruchu Kazimierza. Sprawdził puls na nadgarstku i na szyi. Potem zajrzał pod powieki, przez chwile przyglądając się gałkom ocznym. Rozwarł usta młodego księcia i powąchał oddech. Sięgnął do kieszeni kubraka i wyciągnął mały ostry nożyk. Odłonił nogi chorego i najpierw delikatnie przesunął tępa stroną ostrza po podeszwie, uważnie obserwując twarz Kazimierza. Potem odwrócił się i rzekł do spoglądającego na to wszystko króla, unosząc nożyk:

— Jedna mała rana. Nie zabije — i sprawnie nakłuł duży palec prawej stopy. Chłopak odruchowo wierzgnął, na co Aban tylko pokiwał głową i zakrył nogi. Rozejrzał się po komnacie.

— *Urina?* — tym razem zapytał po łacinie. Władysław wskazał cebrzyk przy drzwiach. Aban poczłapał we wskazane miejsce, z torby wyjął jeszcze glinianą czarękę i zanurzył w śmierdzącej cieczy. Powąchał i wylał patrząc na kolor. Powtórzył czynność jeszcze kilka razy.

Badanie trwało. Arab palił zioła, okładał leżące ciało kryształami i podświetlał je świecą, patrząc przez nie. Potem kredą rysował dookoła różne znaki i pisał słowa w nieznanym Władysławowi językach. Mruczając do siebie, sprawdzał w coś w zwojach na stole i znów podchodził do łoża.

— Czarownika żeś mi sprowadził, nie medyka — mruknął Łokietek do Zycha, nie spuszczać garbusa z oka. — Jak się o tym księża dowiedzą...

— Powiedz słowo, królu, a odwiozę go tam, gdzie spotkałem — odparł równie cicho rycerz.

— Na to jeszcze przyjdzie czas.

Medyk Wreszcie pozbierał wszystkie swoje przedmioty i ułożył z powrotem na stole. Stał chwilę kiwając się w przód i w tył, zastanawiając się nad czymś. Powoli odwrócił się i spojrzał Władysławowi prosto w twarz.

— *Hakim*, twój syn jest zdrowy.

Król uniósł brwi, zaskoczony, ale medyk nie dał mu dojść do słowa.

— Ciało chłopca zdrowe, ale dusza słaba. Bardzo słaba. Nie dziwne, że żaden *medicus* nie pomógł. Bo *jinna saghir* w nim siedzi. Zły duch. I żywot mu skrada.

Władysław nie wytrzymał.

— Zły duch! Kurwa jego mać, poganinie! Toż ksiądz egzorcyzmy odprawiał, modlitwy prowadził, różańce odmawiał i ty mi mówisz, że diabeł tu działa? — w wybuchu gniewu nie zauważył nawet, że krzyczy po polsku.

— *Non diabolus, sed jinna* — Aban odparł po łacinie, zachowując spokój. Skłonił się nisko i pokornie, nie zapominając, że ma do czynienia z władcą, który mógł w każdej chwili skrócić go o głowę. Dalej mówił już po niemiecku. — Moc chrześcijańskiego boga wielka jest. Jego imię diabła zniszczy, ale *jinna* to...

Arab przerwał, spoglądając w bok, jakby szukał słów. A może nie chciał powiedzieć tego, czego chrześcijanin nie chciałby usłyszeć.

— Czy jest ratunek dla mojego syna? — zapytał Łokietek, z trudem panując nad gniewem. Odruchowo położył dłoń na rękojeści sztyletu przy pasie. Nie umknęło to uwadze Abana. Medyk przygryzł wargę poźółkłymi zębami i przytaknął gorliwie.

— Jaki? Mówże! — król postąpił krok do przodu.

— *Hakim*, twój gniew słuszny jest, ale pozwól słudze twemu powiedzieć, co ma do powiedzenia — Arab cofnął się unosząc dłonie w geście obrony.

Władca ochłonął nieco, przyglądził siwiejące wąsy i rzekł:

— Mów! Słucham.

Medyk przytaknął gorliwie, wytarł spocone dłonie o poły kubraka i zaczął tłumaczyć, nerwowo gestykulując:

— *Jinna saghir* to zły duch. Ten jest silny bardzo, bo siedzi w twym synu długo. Wiele miesięcy. Urósł i rośnie dalej. Ja nie mam siły, by go znaleźć i wygonić, ale — dodał szybko, widząc marszczącą się brew władcy — chyba wiem, kto może.

— Kto? — zapytał król zupełnie spokojnym głosem. Mierzył garbatego Araba ponurym wzrokiem.

— Inny *jinna*.

— Mów dalej...

— Wiem jak wezwać taką istotę, która... być może zgodzi się pomóc.

— Być może? — pytanie Łokietka było ciężkie jak kamień. Aban zgarbił się jeszcze bardziej, świadom tego, co powiedział.

— Jeśli... jeśli zapłata będzie wysoka to powinno się udać — wyrzucił jednym tchem. Mimo że w komnacie panował jesienny chłód, poczuł krople potu wsiąkające w jedwab turbanu.

— Zapłata... Czyli?

— Życie za życie, *hakim*. Taka będzie cena.

— Mam kazać zabić kogoś, by jakiś demon uzdrowił mi syna? Złożyć pogańską ofiarę?

— Taka będzie cena — powtórzył Aban i podszedł do stołu. Zaczął powoli chować wszystkie przedmioty do torby.

Król milczał. Spoglądał na wychudłe ciało syna. Zabił w życiu wielu wrogów.

podrzynał gardła, dusił gołymi rękoma i skazywał na śmierć. To, co proponował garbaty Arab było bluźnierstwem, rzeczą niegodną chrześcijanina, a co dopiero monarchy. Jego przeciwnicy tylko czekali, by wieść o takim czynie dostarczyć Ojcu Świętemu jako dowód, że Władysław nie tylko nie jest godzien papieskiej ochrony, ale i zasługuje na stos.

— Kiedy? — zapytał po chwili.

Arab spojrział w ciemność za oknem, jakby coś z niej czytał.

— Jutro o północy. To będzie dobry czas — odparł.

— Jutro o północy — przytaknął Łokietek, ruszając do drzwi. — Zych zadba o wszystko, czego ci trzeba.

— Tak będzie, *hakim* — usłyszał jeszcze, zanim opuścił komnatę.

Trzej więźniowie, skuci kajdanami i zakneblowani, leżeli na środku jaskini, głęboko pod wzgórzem wawelskim. Dookoła leżały spróchniałe, rozpadające się kości i czaszki tych, którzy przez wieki umierali w tym miejscu z głodu i pragnienia. W świetle dwóch pochodni, przy jedynym wejściu do groty, stali Władysław z Zychem. Obaj uzbrojeni w miecze. Milcząc, przyglądali się arabskiemu mędrcom, który mazał ciemną cieczą dziwne znaki wokół trójki skazańców. Mamrotał przy tym cicho w nieznanym języku, co jakiś czas spluwając na ziemię. Wreszcie skończył. Popatrzył na skutych mężczyzn. Aban dobrze znał symbole na ich brudnych, potarganych, niegdyś jasnych, teraz brązowych od brudu i potu szatach. Za młodu widywał armie krzyżowców, wędrujących przez Syrię i Palestynę, a wśród nich również rycerzy odzianych w białe płaszcze z czarnym krzyżem.

— Już czas, *hakim* — zwrócił się do władcy, czekając na znak.

Łokietek bez słowa skinął głową. Jeśli nie było innego sposobu na uzdrowienie syna, gotów był dogadać się z nawet diabłem. Skoro nie pomogli lekarze, znachorzy ani księży...

Król spodziewał się, że Arab rozpocznie jakiś przekłety magiczny rytuał, będzie wzywał demona, osobiście podrzynał gardła trzem schwytanym Krzyżakom, tymczasem muzułmanin po prostu wyjął ze swojej torby miedzianą lampę i pocierając ją energicznie, powtarzał tylko:

— Al uzzah... al uzzah... al uzzah...

Lampa rozbłysła w pewnej chwili błękitnym światłem. Aban szybko rzucił ją do wymalowanego wcześniej kręgu, cofając się pod ścianę jaskini. Przykrywka kaganka odskoczyła i buchnął ciemny dym, kłębamii wzbijając się aż pod sklepienie. Wirujące pasma z sykiem próbowały sięgnąć po garbusa, jedno nawet wystrzeliło w stronę króla, który nie ukrywając strachu uniósł miecz, chcąc się zasłonić, ale znaki wymazane na podłodze rozbłysły krwawym blaskiem, zatrzymując buzującą chmurę.

Z jej wnętrza dobiegły wrzaski skutych nieszczęśników i brzęk kajdan. Coś kotłowało się wewnątrz czarnego wiru, powoli nabierając kształtów. Władysław zdążył pożałować swojej decyzji. Nigdy wcześniej nie widział takich rzeczy i choć niełatwo było go przerazić, teraz zaczął w myślach modlić się, błagając Boga o litość i wybaczenie grzechu.

Wreszcie szum ucichł, trzy martwe ciała opadły bezwładnie na ziemię, krwawe znaki przygasyły i król ujrzał wyłaniającą się z czarnych oparów bladą postać nagiej kobiety. Seledynowe oczy lśniły zimnym blaskiem, srebrnobiałe włosy falowały wokół nagich ramion, unoszone niewidzialnym wiatrem. Piękne usta uśmiechnęły się drapieźnie, a długi, rozdwojony język delikatnie oblizwał ciemnofioletowe usta.

— Al Uzzah? — odezwał się drżącym nieco głosem Aban.

— *Uwolniłeś mnie, alssahir...* — władca ze zdumieniem odkrył, że słyszy głosy w swojej głowie. Wpatrywał się w nieziemską istotę, ostatek woli opanowując chęć ucieczki wąskim korytarzem, w stronę powierzchni. Jednak naga zjawa zupełnie go ignorowała, skupiając uwagę na garbatym Arabie.

— Al Uzzah, czcigodna, uwolniłem cię, choć nie jam cię uwięził — Aban uniósł lekko dłonie, jakby tłumacząc się przed demonicą.

— *Dobrze zrobiłeś* — postać rzuciła okiem na trzy truchła, poskręcane i wyschnięte niczym mumie. — *Czego zatem chcesz, człowieku?*

Arab wskazał ramieniem na króla.

— Pan tych ziem, *hakim Władysław*, ma syna nękanego przez *jinna saghir*. Żadna siła nie była w stanie mu pomóc. Jeśli zechciałabyś...

Demonica dopiero teraz spojrzała na Władysława. Podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. Łokietek próbował odwrócić głowę, ale czar seledynowych oczu odebrał mu całą wolę. Mógł tylko stać i bezwiednie pozwalać, by piekielna istota zaglądała w jego duszę.

„*Jestem potępiony, wybacz mi, Boże*”, zdołał pomyśleć gotów na śmierć, ale demonica nagle przerwała swój czar i zalotnym gestem poprawiła swoje długie włosy.

— *Chodźmy więc do tego chłopca. Zanim zgłodnieję i nabiorę ochoty na kolejną...* — tym razem posłała zalotne spojrzenie Zychowi — *...duszę*.

Zgodnie z wcześniejszym rozkazem króla, dwór i cała służba wraz z królową Jadwigą, udała się do katedry na mszę w intencji zdrowia Kazimierza. Kilku zaufanych wartowników pełniło straż, pilnując by nikt niepowołany nie pojawił się w komnatach władcy.

Prowadził Arab, niosąc pochodnię. Za nim szła Al Uzzah. Z tyłu, w pewnym oddaleniu kroczył Władysław ze swoim wiernym druhem.

— Trzech więźniów. Wyssała ich jak strzyga jakaś, albo upiór... — mruknął w pewnym momencie władca, spoglądając na nagie biodra idącej przed nim demonicy.

— I tak byś ich kazał ściąć. To tylko Krzyżacy — odparł równie cicho Zych. — A tak, przydali się na coś.

Dotarli wreszcie do komnaty Kazimierza. Młody książę leżał oparty na wielkie poduszce, oddychał słabo. Na taborecie przy łożu stała miska z niedojedzoną polewką i dzbanek z wodą.

— Oto i on — mędrzec wskazał na chłopaka i czym prędzej usunął się w róg izby, wieszając pochodnię na ścianie.

Al Uzzah stanęła nieruchomo nad chorym. Diaboliczny, uwodzicielski uśmiech zniknął z jej twarzy. Zych, który wszedł ostatni do komnaty, zamknął za sobą drzwi i w ciszy dołączył do Araba, sprytnie ustawionego jak najdalej od przywołanej istoty. Tylko Władysław, całkiem już pogodzony z tym, co działo się dookoła niego, podszedł do łoża z drugiej strony.

Wreszcie Al Uzzah pokiwała głową.

— *To jinna saghir* — król usłyszał głos. — *Ktoś go sprowadził i kazał nękać twojego syna, zabierając mu życie. I prawie mu się udało. Jeszcze kilka dni i musiałbyś go pochować.*

— Czy jesteś w stanie go uzdrowić? Czy możesz wygnąć to, cokolwiek to jest? — słowa Władysława nie były słowami surowego władcy i wojownika, którym był przez tak wiele lat. Mówił cichym, łamiącym się głosem, jak ojciec, który szuka ostatniego ratunku dla swojego dziecka.

— *Jestem* — przytaknęła demonica. Na jej twarzy znów pojawił się uśmiezek, który wydawał się zalotny i drapieżny jednocześnie. — *Ale wszystko ma swoją cenę...*

— Przecież... pożarłaś tych trzech tam, na dole! — król poczuł gniew, dodający odwagi. — Nie igraj ze mną, potworze, bo będziesz pierwszym, którego w życiu zabiję, choćbym miał to zrobić gołymi rękoma!

— *Ci na dole byli ceną za moje zjawienie się tutaj i ten garbus dobrze o tym wiedział* — Al Uzzah machnęła ręką w stronę kryjącego się w cieniu Araba. — *To jest zupełnie inna sprawa.*

— Dobrze! — przytaknął Władysław. — Czego jeszcze chcesz? W moich lochach gnije jeszcze kilku skazańców, chcesz ich? Jednego? Dwóch? Trzech?

Demonica pokiwała głową z politowaniem. Powoli obeszła łoże i zbliżyła się do Łokietka, który mimowolnie cofnął się o krok.

— *Jak bardzo zależy ci na zdrowiu syna? Co jesteś gotów poświęcić w zamian za jego życie?* — delikatnie położyła zimny jak lód palec na piersi władcy.

— Chcesz... mnie? Moje życie za jego? — Władysław zająknął się, ale po chwili odzyskał rezon. — Każdy ojciec odda życie za swoje dziecko. Bierz!

— Mój panie! — krzyknął z boku Zych, postępując krok na przód. — Nie rób tego!

Al Uzzah powstrzymała rycerza, unosząc ramię.

— *Gdybyś był zwykłym człowiekiem, hakim, być może to byłaby dobra cena. Ale nie jesteś* — zabrała palec z piersi Władysława. — *Widziałam w tobie troskę nie tylko o dziecko, ale i o twój lud i kraj. Widziałam ambicję władcy, marzenie o koronie dla syna, o dynastii. Widziałam twój sen o potędze...*

Usiadła na skraju łoża i oparła się na lewym ramieniu, zakładając uwodzicielsko nogę na nogę.

— *A skoro twoje ambicje godne są króla, więc i cena musi być... królewska.*

— Czego chcesz? Powiedz to wreszcie! — krzyknął Władysław. Skoro jego życie było niewystarczającą zapłatą, o co w takim razie chodziło?

— *Dobijmy targu, hakim* — demonica spoważniała. — *Twój syn wyzdrowieje. Daję ci*

moje słowo, choć możesz mi nie wierzyć. Będzie żył długo i zapewni twojemu rodowi siłę i bogactwo na całe pokolenia. Ale ceną za to będzie utrata wszystkiego, o co walczyłeś przez całe życie. Twoje królestwo podzieli się i rozpadnie, a ród twój choć przetrwa, nigdy nie dostąpi już władzy królewskiej. Albo... — tu zrobiła krótką przerwę — twój syn zostanie królem. Będzie uwielbiany przez swój lud i szanowany przez sąsiadów. Jego rządy będą mądre i dobre, na wieki będzie zapamiętany jako jeden z najlepszych władców. Zostanę przy nim przez całe jego życie i dopilnuję tego. Będę go chronić i doradzać. Ale będzie ostatnim z twojego rodu. Wraz z nim wygaśnie twoja krew. Wybieraj, hakim: królestwo albo ród.

Władysław stał, próbując zrozumieć słowa demonicy. Powtarzał w myślach to, co powiedziała, szukając sensu i znaczenia. Wreszcie dotarła do niego przewrotność propozycji. Zrozumiał, że cokolwiek wybierze, zapłaci utratą drugiego.

Al Uzzah patrzyła na niego w oczekiwaniu. Zych podszedł i próbował coś mówić, tłumaczyć, ale książę nie słuchał go. Myślał o tych wszystkich latach, spędzonych na wygnaniu, o walkach z krewnymi, o towarzyszach, umierających na jego oczach, o straconych nadziejach i nieudanych planach. O swoich staraniach o koronę, o listach słanych do papieża i cesarza. Wszystko, wszystko w swoim życiu poświęcił temu, by scalić dawne królestwo. Myślał o piastowskim orle, który był symbolem jego rodu, ale powoli stawał się też godłem wszystkich, którzy żyli na ziemiach polskich. Jego dzieło potrzebowało czasu i spokoju, by okrzepnąć i nabrać sił.

Otrząsnął się z rozmyślań. Spojrzał na nieprzytomnego Kazimierza.

„Wybacz, synu” pomyślał i skinął głową demonicy.

— Wybrałem.

* * *

Niedziela 25 kwietnia, Roku Pańskiego 1333 była w Krakowie słoneczną, choć wiosenny wiatr, wiejący od gór, przynosił czasem chłodniejsze tchnienie. Stolica od dwóch dni żyła koronacją. Do miasta zjechali się wszyscy poplecznicy królewscy, dostojnicy i rycerze. Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością legat papieski i poseł cesarski. Nawet Wielki Mistrz Zakonu Najświętszej Marii Panny przysłał znamienitego brata z listem gratulacyjnym.

Katedra wawelska, udekorowana girlandami, naręczami wiosennych kwiatów i czerwonym sukniem, podwieszonym pod sklepieniami, wypełniona była po brzegi. Królewscy halabardnicy stali na progu kruchty pilnując, by nikt więcej nie dostał się do i tak przepełnionej świątyni.

Przed ołtarzem klęczał na zdobionym klęczniku książę Kazimierz wraz z małżonką, księżną Aldoną. Królowa Matka, Jadwiga, siedziała na tronie, ustawionym z lewej strony. Rycerstwo i możni zajęli prawą, południową nawę, ich żony, córki i krewne lewą, północną. Wszyscy wystrojeni na ten najważniejszy dzień w królestwie, w nabożnym skupieniu brali udział w modlitwach. Koncelebrujący mszę biskupi stali półokręgiem po

bokach ołtarza, wszyscy odziani w białe, szyte złotem ornaty i białe infuły. Dwóch z nich trzymało kadzielnice, co jakiś czas unosząc je i okadzając parę książęcą. W katedrze unosił się gęsty, słodki zapach mirry i ziół.

Koronacja dobiegała końca. Kiedy Kazimierz złożył uroczystą przysięgę królewską i został namaszczony świętymi olejami, arcybiskup gnieźnieński Janisław uroczystym gestem uniósł królewską koronę, lśniącą klejnotami i szczerym złotem. W świątyni zapanowała cisza.

— W imię Boga Ojca Przedwiecznego, Jego syna Jezusa Chrystusa i Duch Świętego — głos arcybiskupa zabrzmiał ponad głowami zgromadzonych. — Przy błogosławieństwie ojca świętego, Jana XXII i za zgodą cesarza Ludwika IV Bawarskiego, władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, ogłaszam cię, Kazimierzu, synu Władysława królem Polski!

Korona spoczęła na królewskiej skroni. Janisław uniósł drugą, mniejszą koronę i nałożył ją księżnej Aldonie. Para powstała z kolan i odwróciła się w stronę zgromadzonych w katedrze. Dwóch duchownych podeszło do arcybiskupa. Jeden trzymał w dłoniach królewski miecz Szczerbiec, drugi zaś berło. Janisław ujął regalia i wręczył je królowi. Potem skłonił się przed majestatem i usunął ku ołtarzowi.

Kazimierz spojrzał na swoich poddanych. Stojący w pierwszym rzędzie Zych Awdaniec z Krzywina, odziany w najwspanialszy rodowy kubrak, podkręcił siwego już wąsa i wysunął swój miecz. Uniósł go wysoko w górę, a za nim uczyniło to całe zgromadzone w katedrze rycerstwo.

— Niech żyje król Kazimierz! — huknął z całych sił.

— Niech żyje!!! — zawtórował mu okrzyk tysiąca gardeł. Potężne organy zabrzmiały radosnymi dźwiękami, a chór zaintonował *Alleluja!* Zgromadzeni wiwatowali na cześć nowego władcy, który dostojnym krokiem, prowadząc małżonkę, ruszył środkiem katedry. Z boku wyskoczyli dwaj paziowie i dwie najmłodsze dwórki, ujęli poły królewskich płaszczy i godnie poszli w ślad za królewską parą. Za nimi zaczął formować się orszak, prowadzony przez arcybiskupa i duchownych.

Kiedy monarcha przekroczył próg katedry i spojrzał na ludzi stłoczonych na wzgórzu wawelskim, z wież katedry odezwały się dzwony, głosząc radosną nowinę. Zawtórowały im inne, w kościołach w całym Krakowie i poza miastem. Spiżowy dźwięk niósł się po wiosennym niebie dalej i dalej, do najdalszych zakątków królestwa.

— Niech żyje król! Niech żyje królowa! — zewsząd niosły się okrzyki ludzi. — Sława! Sława!

Kazimierz w milczeniu spoglądał na poddanych. Drobne rycerstwo i bogaci mieszczanie, wolni kmiecie i rzemieślnicy, wszyscy cieszyli się tego dnia. Nawet kilka mniszek, stojących pod murem, radośnie unosiło dłonie z różańcami, błogosławiąc parze monarszej. Jedna z nich, stojąc nieco z boku, wpatrywała się w króla. Kiedy ich spojrzenia spotkały się na chwilę, Kazimierz dostrzegł w jej oczach jasny, szmaragdowy błysk...

Bydgoszcz, listopad 2016